Rok 1935. 22 września Nr. 39

DZWONECZEK

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO"
Pod redakcją Eli Oleskiej.

Kto ty taki?

A kiedy kto zapyta,
Kto ty taki, skąd ty rodem —
Mów, że z tego łanu żyta,
Żeś z tych łąk, co pachną miodem,

Mów, że jesteś z takiej chaty,
Co Piastową chatą była,
Żeś z tej ziemi, której kwiaty
Srebrna rosa wykarmiła. *M. Konopnicka*

DOOKOŁA ŚWIATA.

I.

Zdarzyło się to po raz pierwszy w dziejach świata, że ten świat dokoła opłynął okręt polski. Dobrze się ktoś wyraził, że to po raz pierwszy bandera Białego Orła opasała kulę ziemską wstęgą biało-czerwoną, powiewając dumnie w dwudziestu paru portach na pięciu lądach. Tym okrętem był „Dar Pomorza". Tak się nazywa Polsce przez ludność Pomorza darowany statek szkolny marynarki handlowej, a więc nie okręt wojenny i nie parowiec, tylko żaglowiec. Pojemności ma on 1561 ton. Trzy maszty zaopatrzone są w reje na żagle poprzeczne, a więc jest to fregata, w odróżnieniu od szkutnerów o dwuch masztach z żaglami skośnemi. Szybkość tego statku pod żaglami przy silnym wietrze przekracza 15 mil na godzinę, ale poza żaglami posiada on na wypadek zupełnego braku wiatru motor pomocniczy pozwalający płynąć z szybkością 8-miu mil morskich na godzinę. Jednakże dla żaglowca najkrótsza droga między dwoma portami nie jest nigdy linją prostą, lecz krzywą i łamaną w zależności od siły i kierunku wiatru.

Wykorzystywanie wiatrów stałych, wiejących na określonych szerokościach geograficznych w określonej porze, jest właśnie starą sztuką żeglarską i dlatego okręty szkolne to zwykle żaglowce. Ponieważ w szkolnictwie morskiem chodzi o tworzenie marynarzy, a nie konduktorów i maszynistów pociągów wodnych, przeto studentów zawodu marynarskiego wysyła się w świat, nawet w dobie elektryczności, nie na szybkobieżnych motorowcach czy parowcach turbinowych, ani nie na opancerzonych krążownikach, ale właśnie na żaglowcach, wydających się okrętami staroświeckimi. Bo chociaż z postępem czasu zmieniła się technika, to jednak żywioł wcale się nie zmienił; morze przecież pozostało morzem i w szeregi morskiej służby przyjmuje tylko ludzi, którzy je poznali należycie, pokochali i zrozumieli, z innymi obchodzi się bezlitośnie.



„Dar Pomorza"

Dobrze ktoś powiedział, że ze sztormem czyli burzą morską nie trudno walczyć, skoro się ma w głębi statku na zawołanie dziesiątki tysięcy koni parowych czy mechanicznych. Ale sztuka, mając tylko kawał płótna, pędzić na skrzydłach huraganu i nie stracić panowania nad okrętem. Dopiero ten, kto zdany na własne siły i własny rozum, nauczył się w walce i w pracy na morzu karności, solidarności, przedsiębiorczości, orjentacji, koleżeństwa i poświęcenia, a zwłaszcza twórczego śmiałego czynu, ten dopiero będzie umiał pędzić służbę jako prawdziwy marynarz nawet na okręcie mechanicznym.

Takich właśnie marynarzy wyszkolonych przygotowuje dla Polski państwowa Szkoła Morska w Gdyni, której 68 uczniów miało zaszczyt na „Darze Pomorza" odbyć podróż dookoła świata. Właściwie tych szczęśliwców było stu trzech, a więc kapitan Maciejewicz, pięciu oficerów, kapelan, radjotelegrafista, 5 instruktorów, 21 zawodowych marynarzy i wreszcie ci wspomniani uczniowie w liczbie 68. Wypłynęli przed rokiem z Gdyni i do Gdyni wrócili w ściśle oznaczonym dniu, jakgdyby na lądzie pociąg kolejowy: a to przecież żaglowiec zdany na walkę z żywiołami.

Witano ich z niezwykłym zapałem ze szczerem wzruszeniem i z serdeczną radością. Powrócili szczęśliwie wszyscy. Żaden jeszcze polski statek nie odwiedził tylu naraz portów: Kopenhaga, Santa Cruz, Fort de France, San Domingo, Colon, Balboa, wyspy Galapagos, Honolulu, Yokohama, Osaka, Nagasaki, Shanhaj, Hongkong, Singapoore, Batavia, Broome w Australji, San Luiz, Durban, Św. Helena, Antwerpja, Gdynia.

Piękna to podróż, a pożyteczna nietylko dla tych młodzieńców, pasowanych na marynarzy po całorocznych zapasach rycerskich z żywiołem, ale i dla Polski bardzo korzystna, gdy się zważy, że za banderą zwykle idzie handel i dobrobyt dla kraju, a przeważnie wszędzie tam, gdzie oni zawiedli polską banderę, przedtem jej nie widywano.

Dobra Królowa.

W Belgji dawno opowiadano sobie różne rzeczy o swojej ukochanej Królowej Astrid, ale w innych krajach dopiero teraz, gdy tak strasznie zginęła w katastrofie samochodowej, powtarza się zajmujące opowiadania z jej życia, które ją malują jako osobę pełną prostoty i wielkiej dobroci.

Dziś, gdy wszystkie dzieci Belgji opłakują poniesioną stratę, warto, by i polska młodzież posłuchała o niej paru opowiadań z życia.

Otóż kiedy jeszcze mąż jej, obecny król belgijski Leopold Trzeci, był księciem następcą tronu za życia swego ojca Alberta, sławnego monarchy-bohatera z czasu wojny światowej, odbywała się w stolicy Belgji, przepięknej Brukseli, wspaniała parada wojskowa. Wyległy na ulice tłumy, przybyły z prowincji tysiące ciekawych, okna i balkony zapełniły się widzami. Jezdnię opróżniono, a tylko na chodnikach ustawiła się publiczność. Jadą w galowych mundurach żołnierze, pułk po pułku. Wtem na czele kawalerji nadjeżdża młody przystojny dowódca. Na jednym z chodników ulicznych jakaś młoda skromnie ubrana kobieta trzymająca za rękę kilkoletnią dziewczynkę, poruszyła się w szpalerze, i podniosła dziecko wysoko nad głowę, mówiąc głośno:

— Przyjrzyj się, córeczko, swemu tatusiowi!

Publiczność, która w jadącym oficerze poznała odrazu księcia następcę tronu, drgnęła na te słowa. Wszyscy zwrócili oczy na kobietę trzymającą

wysoko dziewczynkę właśnie w chwili, gdy dowódca kawalerji ukłon wojskowy składając w tę stronę, uśmiechał się serdecznie. Odnaleziono tam wyraźne podobieństwo do znanych portretów jego pięknej małżonki. Zrozumiano, że to księżna Astrid, przyszła królowa, stała na chodniku w szeregach zwykłej publiczności, nie chcąc być poznaną. Owacjom nie było więc końca.

Później, gdy już królową została, spotykano ją nieraz rankiem idącą na targ czy za sprawunkami z torebką do sklepów, albo z dzieciakami swemi do parku. Raz się zdarzyło, że kiedy niepoznana wychodziła ze sklepu, potrącił ją mocno, acz niechcący, jakiś chłopak, śpiesznie idący chodnikiem.

— Mój chłopcze, kiedy się przechodnia potrąci, trzeba go przeprosić...

— Pani nie jest moją matką, żeby mi robić takie uwagi...

— Mylisz się, dziecko, właśnie jestem twoją matką.

— Co takiego?

— Nie poznajesz mnie, chłopcze... Jako królowa jestem matką wszystkich swoich obywateli.

Rozpłakał się chłopak, zmartwiony, że tak postąpił względem królowej, którą znał z fotografji doskonale, a kochał, jak wszyscy w narodzie.

— Już nigdy, przyrzekam, nie zachowam się tak niegrzecznie względem nikogo — powtarzał ze szczerem wzruszeniem, całując jej ręce.

Dziś pewnie chłopak ten posmutniał bardziej, niż wielu z jego kolegów. Ze współczuciem myśli o trojgu sierotek po tej dobrej matce narodu pozostałych, z których najstarsza ma 8 latek, a najmłodsze zaledwie półtora roku.

Tajemnica wyspy kauczukowej.

Opowiedział Marjan Warta. *(Ciąg dalszy).*

I tak przywódcy buntu krzywo na nią w tej chwili patrzyli za to, że kiedy ją ostrzeżono, nie zbiegła sama z kolonji, lecz pod osłoną nocy dziecko z sobą zabrała i schroniwszy się z niem w bezpieczne miejsce na czas napadu dzikich, przeczekała do końca pożaru i uniemożliwiła im, w chwili, gdy największa wśród nich panowała wściekłość, porwania Willingtonowi jedynaka w niewolę i znęcania się okrutnego nad nieszczęśliwym.

Ona go teraz własną piersią zasłaniała, gotowa życie oddać, byle jej ukochanemu Willowi nie stało się nic złego. Powiedziała to szczerze starszym w osadzie, przysięgając, że nie przestała być Malajką, że z dawnymi braćmi brunatnymi wszystko ją jeszcze nadal łączy, ale zanadto przywiązała się jednocześnie i do białego dziecka, które wypiastowała, by mogła zdradzić Willingtonów.

Uspokoiła ona teraz Willa i zaprowadziła go na miejsce, gdzie mógł odtąd bezpiecznie pod jej opieką przebywać i gdzie we dwoje mieli mieszkać do końca niewoli. Był to zakątek na końcu wielkiej werandy, gdzie mogli sypiać na matach, a skąd spoza lekkiej zasłony mógł się Will wszystkiemu przyglądać. Tam mieszkańcy domu opiłowywali sobie zęby, jak każe zwyczaj Malajów, którzy powiadają, że nie chcą wyglądać, jak psy.

Do tego zakamarka teraz Banka przynosiła więźniowi jedzenie. Niebardzo mu ono spoczątku smakowało po angielskiej kuchni w domu, więc nie chcąc go przymuszać do obiadów gotowanych po malajsku, karmiła go

samemi owocami. Wbród ich miał jeniec wielkiego domu na palach. Toteż mógł między niemi przebierać, gdy niektóre z nich odpychały go smakiem lub zapachem.

Zachęcała go Banka naprzykład, by z nią jadł durjon; przyniosła mu z rosnącego w pobliżu drzewa żółto-zielone owalne owoce, wielkości głowy, w grubej twardej łupinie, najeżonej kolcami i zachwalała ukryty wewnątrz biały miąższ; lecz chłopiec, skosztowawszy, przyznawał, że jedzenie to bardzo smaczne, jednak czuć je tak zepsutą cebulą, że znieść tego nie mógł, podobnie jak białego płynu z pod łupy, o przedziwnym smaku słodkiej śmietanki z migdałami. Wolał więc przypominające w smaku brzoskwinie, a z kształtu do ogromnych jabłek podobne, owoce wiecznie zielonego drzewa mangowego, barwy czarno-czerwonej. Chętnie też jadał banany, obficie dokoła osady uprawiane, które od dziecka miewał zwykle na stole ojca, jakoteż orzechy kokosowe.

Zato miał przykrą przygodę z orzechem innej palmy, zwanej areką. Z najbliższej izdebki przyniosła Banka kosztowne naczynie, w którem przechowywano coś niby tytoń do palenia. *(C. d. n.)*



My, karzełki, nie jesteśmy wcale dziećmi, chociaż sypiamy w dziecięcych łóżeczkach; jesteśmy od bardzo wielu lat dorośli, chociaż wzrostem tak bardzo niedorośli. Bardzo nam niewygodnie siadywać na dużych krzesłach, z których nie można nogami dostać do podłogi, ale cóżbyśmy zrobili z naszymi dużymi przyjaciółmi, gdyby w naszem mieszkaniu były meble jak dla małych dzieci. Duże łyżki, ciężkie widelce i noże troszkę są też niewygodne dla nas karzełków, ale to nie przeszkadza, że mamy dobry zawsze apetyt i chociaż twarz nasza z wiekiem pomarszczona, umiemy być zawsze weseli jak dzieci i swoim humorem jeszcze bawić drugich, młodych i starych.

Rozwiązanie szarady z nru. 38

Kora. Kole. Korale.